Rok XVIII

KUŹNICZANKA

Numer poświęcony pamięci

ś. p. Marii Zamoyskiej.

1938 r.

TREŚĆ NUMERU:

str.

3. Wyjątek z listu Władysława Zamoyskiego do Wincentego Szymborskiego, Paryż 10. VI. 1916. 1
3. Rozdział z pamiętnika hr. Marii Zamoyskiej . . 2
5. „Protection Polonaise" — Gawroński Stanisław . . 6
6. Hrabianka Maria Zamoyska — Michalina z Mostowskich — Grodzicka 8
7. Ostatnia choroba i śmierć 10
8. Wspomnienia: a) Gorejące serce i czar głosu — współpracownica Zakładu Chłapowska-Popielowa. b) Radosna postać — Stanisławowa Gawrońska. c) Oto Ona (z notatnika) — Zaborowska Jadwiga 19

MARIA ZAMOYSKA

ur. 14. V. 1860 w Paryżu — zmarła 23. II. 1937 w Kuźnicach.

WYJĄTEK Z LISTU WŁADYSŁAWA ZAMOYSKIEGO DO WINCENTEGO SZYMBORSKIEGO

Paryż 10. VI. 1916 r.

„Moja siostra zapracowana, ale cudów dokazuje. Całym rzeszom naszych biedaków usługi oddaje, nigdy się nie daje największymi trudnościami zniechęcić. Od rana do nocy u niej oblężenie. Rekord taki zdobyła: raz w jednym dniu w 17 biurach była. Zamęcza się, ale trzeba jej przyznać, że nie bez skutku. Wdzięczności zbiera moc i na nią zasługuje".

44 c 1973 v

BIBLIOTEKA KÓRNICKA

Cz 2280/1938

Rozdział z pamiętnika hr. Marii Zamoyskiej.

W roku 1908 zaszła okoliczność, która później była wielkiego znaczenia. Za przyjazdem do Paryża zastałam u naszego stróża słówko od panny de Montalembert z tym, że skoro przyjadę, mam się do niej zgłosić, bo mi ma coś pilnego do powiedzenia. Poszłam jak najchętniej do kochanej z dziecięcych lat przyjaciółki, a córki tego wielkiego przyjaciela mego ojca i naszej Polski, a ona do mnie się odzywa w ten sposób: „Ty nie masz pojęcia, co się dzieje z waszymi Polakami! Oni tu giną, bo się nimi nikt nie opiekuje! Ty powinnaś coś zrobić w tym kierunku!“ Wobec tego, że to córka Montalembert'a w ten sposób odzywa się do mnie, córki jenerała Zamoyskiego, musiałam coś zrobić i zaczęłam się nad tym zastanawiać. Równocześnie zgłaszali się do mnie coraz, to Francuzi, prosząc by jakiś ksiądz Polak przyjechał odwiedzić ich polskich robotników na wsi, gdzie pracowali, to Polacy, prosząc o ratunek czy posadę — tak że pamiętam, oparta o szafę w naszym tak zwanym saloniku w Paryżu, zamyślona mówię sama do siebie: To coś, powinno się nazywać: „Opieka nad Polskimi Robotnikami we Francji“, i to były jakby chrzciny tej sprawy. Poszłam do matki z zapytaniem, czy by nie pozwoliła urządzić w tym celu biuro w naszym saloniku? Matka na to się zgodziła. Niedługo potem dowiedziałam się, że przybył do Francji dla uregulowania swych spraw wojskowych ks. Lurat, nasz kapelan Zakładowy w Zakopanem. Chcąc zadość uczynić życzeniom p. de Montalembert, piszę do niego, prosząc go, by był łaskaw przed powrotem do Zakopanego pojechać do tej prowincji, w której ona mieszkała, żeby odwiedzić naszych Polaków tam pracujących. Przesłałam mu listy polecające do władzy świeckiej i duchownej, a także trochę pieniędzy na podróż, których mi udzieliła na ten cel p. de Montalembert. Ks. Lurat pojechał, a gdy się na jakim folwarku pojawił, to Polacy byli rozczuleni, że nareszcie przybył do nich ksiądz, mówiący po polsku, a pracodawcy,

poznając w tym księdzu rodowitego Francuza, przyjmowali go z zaufaniem. W ten sposób, mając zaufanie obu stron, ks. Lurat niejedno nieporozumienie usunął i obie strony uszczęśliwiał. Równocześnie ci Polacy mówili mu: „Ależ proszę księdza! Tu o dwa kilometry jeszcze jest pięciu Polaków...!" Więc ksiądz wsiadał na rower i jechał i tam takie same zadowolenie wywoływał. Podobnież wskazywano mu inne miejscowości, gdzie byli Polacy. I tak od wsi do wsi, jeżdżąc koleją i rowerem, objechał ks. Lurat 23 departamenty. Gdy przyjeżdżał do jakiegoś majątku, będącego blisko parafii, to naszych ludzi spowiadał. W niedzielę przemawiał i po francusku i po polsku, wszystkich ujmując swoją dobrocią i usłużnością. Nawiązał się przez to stosunek między naszymi wychodźcami a moim biurem w Paryżu. Taki tam był ruch, że musiałam wziąć sekretarkę do prowadzenia tej pracy. Gdy wróciłam do b. Galicji i zdałam sprawę z tych czynności, Wydział Krajowy udzielił mi subwencji i dzięki temu utrzymała się ta praca w Paryżu, choć ks. Lurat i ja byliśmy już z powrotem w Zakopanem.

Roku 1914 wybieraliśmy się jak zwykle do Paryża, a tym razem i mój brat z nami. Ale dziwny zbieg okoliczności, że zachodziła coraz to jakaś poważna przeszkoda. To ktoś zachorował, to jakiś telegram zapowiadał jakąś wizytę... I tak zamiast zaraz po Wielkanocy, jak zwykle, wyjechaliśmy dopiero 16 czerwca, a gdy po sześciu tygodniach zamierzaliśmy wracać do kraju, zaskoczył nas wybuch wojny i już nie mogliśmy wyjechać. Jeżeli o czym można powiedzieć, że było „opatrznościowe", to o tym, bo gdyby nas wojna zastała w Zakopanem, to Austriacy byliby nas traktowali jako „Francuzów" i wpakowali do obozu koncentracyjnego, a Zakład nasz niszczyliby jako „francuski". Ten fakt, że nas tam nie było sprawił, że nasz przezacny plenipotent, pan Szymborski, borykał się z władzami austriackimi, mówiąc: „Ja nie mam ich papierów, ale przecież są tu od tylu lat itd.". Znakomicie nas bronił i jemu to zawdzięczamy, że się Zakład utrzymał, bo przecież władze austriackie już „chodziły" po naszym Zakładzie, przeznaczając pokoje według swoich widoków i celów. Toteż zawsze z wdzięcznością wspominam o wielkiej usłudze oddanej nam przez p. Szymborskiego.

We Francji również „opatrznościową“ okazała się nasza obecność. Bo uważani za Francuzów, nie byliśmy narażeni na nieprzyjaźń, a do nazwiska mego ojca była przywiązana taka tradycja patriotyzmu, że skoro się odezwałam w obronie jakiego Polaka, w tej chwili liczono się z moim powiedzeniem. Polska nie była uznana wówczas, więc wystarczyło, że ten się urodził w Krakowie — to Austriak, tamten w Poznaniu — to Prusak, i zaraz — do obozu koncentracyjnego! Otóż wobec tego, że nie było ani ambasady ani konsulatu Polskę przedstawiających, Polacy tłumnie schodzili się do Biura Opieki nad Polskim Robotnikiem. Pamiętam, że 2-go sierpnia mówił mi śp. mój brat: „Wiesz, policzyłem ich. Stu pięćdziesięciu czeka na ciebie na schodach, na korytarzach, na podwórzu“. A ja słysząc to, myślę sobie: „Co ja poczne, ja się nie znam na takiej robocie„ i na los szczęścia poszłam do komisariatu policji. Myślałam, że idę do Francuzów, więc szłam z ufnością. W tym czasie nie wiedziałam, że to było gniazdo żydów i masonów. Wchodząc mówię: „Proszę panów! Ja mam tu biuro opieki nad Polakami“. A jeden z urzędników odzywa się do mnie w ten sposób: „Ja nie znam Polaków, znam tylko Prusaków, Austriaków i Moskali“. Na to ja sobie myślę: „Gbyby to była inna chwila, tobyś coś usłyszał ode mnie, ale w czasie wojny to się dziobać nie można“. Więc robię taką głupią minę i mówię: „Doprawdy, nie zna pan Polaków, bardzo mi pana żal, dowidzenia“! — i poszłam sobie. Nie mogli mnie zaczepić, bo im grubiaństw nie mówiłam, a mnie jednak trochę ulżyło. Ale żeby mnie ktoś we Francji miał powiedzieć, że nie zna Polaków, nie mogłam tego znieść, więc trzęsąc się z oburzenia idę do wyższej Władzy do „Prefecture de Police“. Wchodzę, i jaka tu inna atmosfera! Skierowano mnie zaraz do właściwego urzędnika, niejakiego pana Pascalis, i mówię mu zaraz: „Ja mam tu Opiekę nad Polskim Robotnikiem we Francji, ale jak wojna się skończy i wykaże się, że nie umiałam was przekonać, że trzeba robić różnicę między tym, co kradnie a tym, co okradziony, między Zaborcą a Polakiem, to ja nie będę śmiała ludziom w oczy patrzyć“. A on na to: „Ale nie, proszę pani, wystarczy, że mi pani podpisze, że to Polak a nie Austriak, że to Polak a nie Prusak, to ja go uwol-

nię". Skutek tego powiedzenia był taki, że ciągle trzeba było biegać po biurach. Dla ułatwienia, wystaralam się o skrócenie nazwy mego biura, które odtąd zwało się krótko: „Opieka Polska". Swoją drogą sprawy się mnożyły, a ja latałam do owego pana Pascalis'a po trzy razy dziennie. To jakis profesor uniwersytetu krakowskiego, to jakiś ksiądz, to znów właściciel dóbr w Poznańskim itd. itd. — wszystko to mi załatwiał p. Pascalis. Podobno miał mi kiedyś napisać książę biskup Sapieha, dziękując mi za szczęśliwy powrót do Krakowa dwóch jego księży, których nasza Opieka Polska otrzymała zwolnienie. Tak mi żal, że nigdy tego listu nie dostałam. Takaby to była cenna pamiątka.

Pan Pascalis tak nas wspaniale ratował, że kiedyś, odzywam się do niego: „panie, co to jest, że nas pan tak rozumie"?, a on na to: „A bo ja znałem takich, co się bili w powstaniu 1831 roku! To na cześć ich pamięci"!. „Dobrze pana wyszkolili — mówię mu — ale niech mi pan nazwie jednego choćby z tych powstańców". Wymienił mi nazwisko: „Strecki". Dziwię się, że to jakieś nie po polsku brzmiące nazwisko. Pytam wśród naszych znajomych, czy kto nie słyszał o Streckim? Nikt nie zna! Więc przy następnej sposobności zaczepiam pana Pascalis'a: „Ten Polak, o którym mi pan mówił, już pewno nie żyje"? „O tak już 25 lat jak umarł". A gdzie jest pochowany"? W Montmorency". Jest to cmentarz pod Paryżem, gdzie dużo leży naszych emigrantów, a wśród nich i mój ojciec, a też osiemnastoletni brat, Witołd.

Niedługo mi wypadło jechać do Montmorency. Tam w bramie cmentarza jest jakby sionka, w której wisi na ścianie pod szkłem oprawiony alfabetyczny spis wszystkich naszych polskich grobów. Patrzę tedy pod literą „S", czy nie znajdę tego „Streckiego", i znalazłam. Nazywał się właściwie Strzecki, ale pan Pascalis nie umiał tego wymówić. Ze wzruszeniem patrzę na ten kamień i tak sobie myślę, że trzeba coś zrobić, żeby uczcić pamięć tego rodaka, któremu tyle zawdzięczamy.

Gdy w następnych dniach znów poszłam do p. Pascalis'a, pytam: „Ile pan miał lat, gdy pan poznał tego Polaka"?. „Ciotka moja wyszła za niego więc go ciągle w rodzinie widziałem, to było między moim szóstym a dwu-

dziestym piątym rokiem życia". A ja na to: „Czy by można jaki napis ułożyć na jego grobie"?. „O może pani robić, co chce, bo już wszyscy z rodziny pomarli".

W kilka dni później, podczas widzenia się z moim siostrzeńcem Kaziem Dzieduszyckim opowiedziałam mu całą tę historię i mówię mu: „Chciałabym na grobie tego pana Strzeckiego postawić rodzaj pulpitu, na którym by się napisało w kilku słowach zasługi tego Polaka, który tak się szanownie zapisał w sercu dziecka, a później młodzieńca, że ów Francuz w 25 lat po śmierci Strzeckiego wiedział, co sobie ma myśleć o Polsce i Polakach". Naszemu czcigodnemu rodakowi Strzeckiemu zawdzięczamy, że w tym roku wojny wyciągnęliśmy 1000 Polaków z obozów koncentracyjnych, a blisko dwu tysiącom biuro nasze udzieliło pomocy. W następnych latach co roku przybywało jeszcze kilkaset osób do naszych statystyk.

Mój siostrzeniec Dzieduszycki podjął się ułożyć odpowiedni napis na nagrobku Strzeckiego, a jakby wiedział, że ja specjalnie zamiłowana jestem w Piśmie św. zaczął ten napis od słów Pisma św.: „Którzy sieją we łzach, żąć będą w radości". Reszty nie pamiętam dokładnie, ale brzmiało to tak mniej więcej: „Rodakowi, wdzięczni żniwiarze jego siejby". Potem parę słów z historii i rok 1914.

Więc kazałam na grobie Strzeckiego wznieść taki pulpit. Z jednej strony umieściłam napis francuski z kilkoma słowami uznania, a z drugiej — napis polski ułożony przez Dzieduszyckiego.

Protection Polonaise.

Jeden tylko szczegół wszechstronnej działalności p. Zamoyskiej chcę tu poruszyć, szczegół stanowiący niepoślednią Jej zasługę, a mało znany ogółowi. Panna Zamoyska była pierwszą osobą w Polsce, która zrozumiała doniosłość otoczenia opieką naszego wychodztwa zarobkowego w miejscu jego pracy i oddała się temu z całym poświęceniem i zapałem.

Już na długo przed wojną otrzymała od rządu francuskiego koncesję na prowadzenie biura, które nazwała Pro-

tection Polonaise, Opieką Polską, utrzymywała je swoim kosztem i z garstką oddanych przyjaciół gorliwie w nim pracowała, poświęcając temu cały swój coroczny pobyt w Paryżu. Biuro zajmowało się wyszukiwaniem najlepszych warunków pracy dla polskich wychodźców, spisywaniem umów najmu z pracodawcami, pilnowało ich obustronnego wykonania, przyjmowało i rozpatrywało słuszne zażalenia robotników, interweniowało u pracodawców i u władz, ułatwiało stosunki wychodźców z pozostałymi w kraju rodzinami, i wreszcie broniło od wyzysku, zajmując się najkorzystniejszym umieszczeniem oszczędności uciułanych przez polskiego robotnika zagranicą. Dom pp. Zamoyskich na wyspie St. Louis w Paryżu znany był wszystkim wychodźcom, którzy tłumnie korzystali z pomocy biura. Nie zapomniała p. Zamoyska i o pomocy duszpasterskiej, tu jednak trudności zdawały się być nie do przezwyciężenia. Wykluczonym było, żeby ówczesny rząd francuski pozwolił księżom nie Francuzom na objazdy ośrodków zamieszkałych przez polskich robotników i na spełnianie wśród nich posług religijnych. Nie zraziło to p. Zamoyskiej. Mimo trudności zwyciężyła. Kilku wybranych przez nią gorliwych kapłanów francuskich wyjechało na jej koszt do Kuźnic, a po roku już na tyle nauczyli się języka polskiego, że mogli po polsku słuchać spowiedzi, wygłaszać kazania i odprawiać dla wychodźców nabożeństwa z polskimi śpiewami.

Z początkiem wojny światowej przypadły Opiece Polskiej i p. Zamoyskiej nowe ciężkie zadania: obrona polskich wychodźców z Austrii i Niemiec przed zamknięciem w obozach koncentracyjnych, opieka nad jeńcami wojennymi pochodzenia polskiego, wyciąganie ich i wynajdywanie im pracy: Tomy spisać by można o nieprawdopodobnych zwycięstwach, które w biurach i urzędach francuskich odnosiła p. Zamoyska.

Biuro założone przez p. Zamoyską w Paryżu istnieje dotychczas. Po wojnie grono osób w Warszawie założyło stowarzyszenie o tym samym celu, co placówka p. Zamoyskiej w Paryżu, tylko o szerszym zakresie działalności, obejmując pod swe opiekuńcze skrzydła wychodźców nie tylko do Francji, ale polskich wychodźców w ogóle. Dla upamiętnienia zasług i myśli przewodniej niezapomnianej

pionierki na tym polu, Marii Zamoyskiej, stowarzyszenie przyjęło nazwę: „Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie. Stowarzyszenie pracujące obecnie pod najdostojniejszym protektoratem Prymasa Polski objęło cały świat, i wszędzie się troszczy o naszych emigrantów.

Dziś w imieniu tysiącznych rzesz wychodztwa polskiego oraz w imieniu Opieki Polskiej nad Rodakami na Obczyźnie składam hołd pamięci Pierwszej Inicjatorki wielkiego dzieła, które pragniemy prowadzić w myśl ustalonych przez Nią zasad. Tak nam dopomóż Bóg.

Stanisław Gawroński.

Hrabianka Maria Zamoyska.

Hrabianka Maria Zamoyska urodzona 14 maja 1860 r. w Paryżu, odebrała wykształcenie w znakomitej szkole paryskiej dla panien: „Cours Montvel", do której uczęszczała od 8-go do 18-go roku życia. Zaraz w pierwszym roku życia zawarła tam przyjaźń z małą Jeanne Houcke. Przyjaźń ta dla obu przyjaciółek stała się błogosławieństwem dla całego ich życia. Przerwała ją śmierć p. Houcke w roku 1931.

Oprócz nauki w języku francuskim pracowała Maria Zamoyska w domu pod kierunkiem matki nad językiem polskim, którym władała w mowie i w piśmie lepiej, niż wiele osób nigdy nie wyjeżdżających poza granice kraju. Język jej był jędrny, barwny i bogaty, częściowo wzorowany na Piśmie św.

Jenerałowa Zamoyska pragnęła, by jej córka śpiewała i malowała. Hrabianka Maria przyniosła z sobą na świat oba te talenty, które dzięki matce w artystycznej atmosferze Paryża rozwijały się pod kierunkiem znakomitych mistrzów śpiewaków: Włocha della Sedie i pani Viardot-Garcia, oraz dyrektora szkoły malarskiej, Aubert.

Jenerałowa Zamoyska, widząc u córki gotowość całkowitego poświęcenia się sprawie Bożej i pracy wychowawczej, usiłowała wlać w nią przekonanie, że nie trzeba się wyrzekać żadnych darów Bożych, lecz wszystkiego używać ku Bożej chwale. W myśl tych wskazań cały swój wielki talent śpiewacki, swój głos czarujący, oddała na usługi sprawie Bożej. Przyczyniała się do uświetnienia nabożeństw w kościołach parafialnych Kórnika i Zakopane-

go, gdzie śpiewała na chórze na dochód budowy kościoła, i w kaplicy szkolnej Zakładu Kuźnickiego. Jej śpiew był zawsze modlitwą i jak na skrzydłach podnosił zawsze do Boga. Pomagał jej chór uczennic zakładowych przez nią dobrany i wyszkolony.

Całe życie stosowała do słów matki, aby od obcych uczyć się wszystkiego, co może się przydać dla kraju. Na drogach codziennego życia uzbierała przez lata skarbiec przykładów i porównań, które wplatane w jej lekcje i nauki czyniły je tym żywszymi i zrozumialszymi. Raz ucząc swe młode słuchaczki, jak trzeba kształcić charakter, wspomniała, że zrozumiała to na lekcjach konnej jazdy w manežu paryskim, gdy w różnych fazach tej nauki trzeba było z koniem inaczej postępować; to trzymać go silniej i ściągać wędzidło, to pofolgować lub łagodnie zachęcać.

Płomień tryskał z jej oczu czarnych, niewypowiedzianie pięknych, przenikających do głębi duszę łagodną a zniewalającą siłą. Tryskał czystością i głębią, jasnością i żarem, radością i serdecznością, to znów smutkiem i świętym gniewem. Płomień twórczości i życia drgał bezustannie w jej posągowej a równocześnie tak plastycznej twarzy. Ruch i ciągła praca znamionowały tę piękną postać przewyższającą innych, czy to gdy za czasów dawnego Zakładu w gronie dziewcząt prała przy jednej z nimi balii lub w kuchni uczyła je piec i gotować, czy to gdy po wojnie pieszo przemierzała ulice Poznania, Krakowa i Warszawy, jeździła czwartą klasą, lub kornie zmieszana z tłumem klęczała w kościołach.

Była sercem Zakładu i jego motorem. Na wszystkim, czegokolwiek się dotknęła, zostawiała swe piętno: rękę artystki i tętno gorącego serca. Toteż wszystko, co od niej pochodziło wbijało się na zawsze w pamięć. Gdy ona wyjechała, miało się wrażenie, że słońce skryło się za chmury. Gdy się ukazała, robiło się jasno i ciepło. Biegły ku niej wszystkie oczy i wszystkie serca. Jej obecność zagrzewała do pracy, do wytrwałości, i wnosiła szczęście w życie młodych pracownic, stawała się wszystkim dla wszystkich.

Dlatego w czasach przedwojennych, gdy przyjeżdżała do Krakowa czy innego miasta, przed drzwiami jej pokoju gromadził się taki różnorodny tłum, że ktoś z jej rodziny widząc to, powiedział do niej: „Przejazd żadnego z ministrów nie robi takiego ruchu, jak twój".

Maria Zamoyska miała ogromny wpływ na ludzi a przede wszystkim na młodzież. Punktem wyjścia stawały się zazwyczaj pierwsze odprawione w Zakładzie rekolekcje. Jej miłość bliźniego,

szacunek dla każdej duszy, były odblaskiem żywej wiary i płomiennej miłości ku Bogu i człowiekowi. Za każdą duszę, której dopomogła do rozbudzenia się i dźwignięcia w kierunku duchowym czuła się moralnie odpowiedzialna przed Bogiem. Jej przedziwna delikatność uczuć i bezprzykładna dyskrecja budziły atmosferę szczerości i zaufania. Po rozmowie z nią ktoś powiedział, że dusza mimo woli staje wobec niej bez wszelkiej zasłony i miał słuszność. Absolutna szczerość wobec samego siebie i wobec niej stawała się w stosunkach z nią wewnętrznym nakazem. W rozmowie z nią nie wyczuwało się nigdy ani zdziwienia, ani zgorszenia, ani znudzenia. Była równocześnie matką, lekarzem, siostrą miłosierdzia i przyjacielem, na którego silnym i doświadczonym ramieniu można się było wesprzeć. Nigdy wobec niej nie przychodziło na myśl, że się swe smutki, troski, pomyłki, niepokoje powierza osobie obcej. Była najbliższą z bliskich, najgodniejszą zaufania.

W niej samej, w jej pracy dźwięczało bezustannie rycerskie: „Sursum Corda"!. Ćwiczenia rekolekcyjne, rozmyślania i modlitwy nie były szablonem ale czymś, bezpośrednio przeżywanym. Bezpośredni i żywy stosunek do Boga, do Chrystusa i jego Kościoła zawdzięczają Kuźniczanki jej pracy nad nimi.

Michalina z Mostowskich Grodzicka.

Ostatnia choroba i śmierć.

Nikt z mieszkańców Kuźnic nie zapomni chyba uczucia niepokoju i trwogi, jakich doznał wiosną 1936 roku na widok p. Zamoyskiej powracającej z Warszawy, gdzie uczestniczyła w dorocznych, tak bardzo przez nią cenionych rekolekcjach ojca Brillet. Wyjeżdżała z Kuźnic do Kórnika i Warszawy na pozór zdrowa i pełna energii, a wracała tak chora i fizycznie złamana, że zdawało się, iż już wówczas ją stracimy; z powodu wielkiego osłabienia mięśnia sercowego lekarz obawiał się lada chwila katastrofy.

Dzięki umiejętnej i troskliwej opiece Dr. Januszkowskiego i niestrudzonym wysiłkom pań Zaleskich i pani Tekli z Zaleskich Grosickiej [1] udało się wówczas zanik sił Drogiej Chorej powstrzy-

1) W trzy miesiące po śmierci p. Zamoyskiej zakończyła życie w Kuźnicach pani Tekla Grosicka. Chorowała obłożnie przez 9 tygodni, mężnie znosząc wielkie cierpienia, jakimi Pan Bóg ją doświadczył. Codzień przyjmowała Komunię Świętą, którą jej przynosił kapelan zakładowy Ksiądz Wdowiak. Umarła w pierwszym dniu miesiąca poświęconego Sercu Jezusa. Pochowano ją na nowym cmentarzu w Zakopanem. Całe Kuźnice odprowadziły na wieczny spoczynek Samarytankę i niestrudzoną opiekunkę chorych i cierpiących.

mać i przy życiu ją wbrew nadziei zachować. We wrześniu czuła się panna Zamoyska na tyle silną, że mimo próśb lekarza wybrała się do Kórnika z p. Justyną Zaleską. Nie miałyśmy serca jej zatrzymywać. Czułyśmy bowiem wszystkie, jak gorąco pragnie zobaczyć raz jeszcze stare gniazdo rodzinne, kolebkę Zakładu, święte pamiątki po matce i bracie, kościół w Kórniku i kryptę z trumnami drogich zmarłych. Mimo usiłowań dyrektorki szkoły w Kórniku p. Stefanii Jaskólskiej, oraz służby zamkowej, żeby p. Zamoyskiej zapewnić jak najlepszą wygodę i jak najlepsze warunki, podróż ta — jak było do przewidzenia — bardzo ją wyczerpała. Stwierdziłyśmy to z głębokim smutkiem, witając ją u progu Zakładu. Kuźnice szczęśliwe i rade, że ją znów wśród swoich mu-

Fotografia pośmiertna.

rów miały, otoczyły p. Zamoyską sercem i staraniem. Z pociechą wspominamy ostatnie miesiące jej życia, ich ciszę i pogodę, wolną od wszelkich trosk i niepokojów atmosferę kojącą, która ją otaczała. Pociechą nam było słyszeć z ust obcych, że we własnej rodzinie, wśród swych najbliższych, nie mogła być lepiej i z większym pietyzmem pielęgnowana, niż wśród swej rodziny duchowej

w Kuźnicach. W słoneczne dnie jesienne co dzień wyjeżdżała na spacer pod opieką p. Grosickiej. Było to dla niej miłą rozrywką. Cieszyła się zarówno pięknem gór, jak gwarem i życiem ulic zakopiańskich. Z czasem jednak trzeba było i tej rozrywki zaniechać, gdyż choroba szybko postępowała naprzód i już nawet samo chodzenie z pokoju na werandę zbytnio ją męczyło.

Do Bożego Narodzenia codzień przychodziła do kaplicy Zakładowej na mszę św. Po obiedzie odwiedzała kilkakrotnie Najświętszy Sakrament i odmawiała w kaplicy wspólnie z gronem najbliższych współpracownic różaniec. Nabożeństwo jej do Matki Najświętszej, zawsze głębokie, nabrało w ostatnich miesiącach cech specjalnej serdeczności. Nie rozstawała się ze swym różańcem i ze statuetką Najświętszej Panny z Lourdes. Często wspominała, że ojciec oddał ją przy chrzcie świętym pod opiekę Maryi Niepokalanej, stwierdzając tym swą synowską uległość dla Kościoła, który właśnie w owym czasie ogłosił dogmat Niepokalanego Poczęcia. Po Bożym Narodzeniu — widząc jakim zmęczeniem jest dla niej ranne wstawanie — namówiono ją, żeby prosiła księdza o przynoszenie jej Komunii św. do pokoju. Ksiądz kapelan Wdowiak zgodził się na to z największą gotowością i odtąd aż do dnia swej śmierci codziennie przyjmowała u siebie swego Boga i Pana. O śmierci nie mówiła, ale widać było, że o niej myśli, że jest na jej przyjście po żołniersku gotowa i że z prostotą i całkowitym uszanowaniem dla wyroków Bożych oczekuje chwili wezwania. Patrzącym się na nią przychodziły na myśl słowa Ewangelii: „Błogosławiony on sługa, którego Pan znajdzie czuwającego". Dla każdego, kto się do niej zbliżał, miała miłe powitanie i serdeczne słowo. Hartowana i pokorna, zamiłowana w ubóstwie, nie żądała dla siebie niczego, przyjmowała z prostotą, co jej dawano, a za najmniejszą usługę okazywała wzruszającą wdzięczność. Swoje gwałtowne usposobienie i skłonność do niecierpliwości opanowała prawie zupełnie. Ile to ją musiało kosztować, Bóg jeden wie. Najmilszym towarzystwem była dla niej p. Justyna Zaleska. „Co bym bez ciebie poczęła" — mawiała. Nigdy jednak nie okazała niezadowolenia, jak to często chorzy czynią, gdy jej ulubiona pielęgniarka musiała ją chwilowo opuszczać; tylko radosny uśmiech, z jakim jej powrót witała, świadczył jak jest rada, że ma ją znów koło siebie. O przyszłości Zakładu myślała często. W ostatnich tygodniach raz jeszcze zebrała swe siły, by napisać do prezesa Fundacji, polecając mu dzieło swej matki, prosząc go usilnie, by nad

nim czuwał. Na kilka godzin przed śmiercią przyjęła dawną uczennicę, p. Janinę z Ziółkowskich Romocką i serdecznie czas dłuższy z nią rozmawiała. Tegoż dnia zaśpiewała dr. Januszkowskiemu głosem silnym i dzwięcznym jedną ze swych ulubionych pieśni, pokazywała mu też ostatnie namalowane przez siebie widoczki z Kuźnic, ofiarując mu jeden na pamiątkę.

W nocy dnia 22-go na 23-go lutego 1937 roku skarżyła się na silne pragnienie i prosiła o wodę. Nie chciała jednak pić zanim jej nie zapewniono, że nie straci Komunii św. Po czym serdecznie pożegnała się z p. Justyną, zaręczając jej, że czuje się bardzo dobrze i ułożyła się do snu z krzyżykiem w ręku. Zaledwie jednak p. Justyna przeszła do następnego pokoju, usłyszała rzężenie, gdy nadbiegła, p. Zamoyska kilka razy głębiej odetchnęła i na jej ramieniu, bez najmniejszych oznak bólu i walki oddała ostatnie tchnienie. Ksiądz kapelan pośpiesznie wezwany udzielił jej ostatniego namaszczenia. Lekarz, przybyły w godzinę później z Zakopanego, po zastosowaniu wszystkich środków ratunku, stwierdził zgon.

Całą noc i następne dni aż do eksportacji otoczona była nieustannie kochającymi sercami i modlitwą. Wyglądała tak pięknie, że trudno było oczy od niej oderwać. „Wreszcie wypoczywam po trudzie“ — zdawała się mówić. Dziecięca wiara, ufność w dobroć Boga, świadomość, że otacza ją nieskończona miłość, do której ma prawo jako dziecko Boże — te cechy, tak charakterystyczne dla jej pobożności, uwydatniły się w całej pełni przy jej śmierci. Zasnęła jak znużone dziecko w ramionach ojca. „Tak jak ona, chciałabym i ja umierać“ — wyrywało się mimowolnie z serca świadków tego błogosławionego zgonu.

Żałobna wieść o niespodzianym zgonie p. Zamoyskiej rozeszła się błyskawicznie po Kuźnicach. Na mszy św. żałobnej odprawionej tegoż jeszcze ranka w kaplicy Zakładowej zgromadziło się całe grono nauczycielskie z dyrektorką szkoły, p. Mierzyńską, personel Internatowy, wszystkie uczennice, robotnicy i służba.

Panna Zamoyska spoczywała w pokoju swej matki, w którym życie zakończyła, w bieli zarzucona zielenią i kwiatami. Przez wtorek i środę odwiedzały ją tłumnie nie tylko osoby domowe, ale i mieszkańcy Zakopanego. Szczególnie licznie przybywali górale. W środę wieczorem, 24-go lutego, przeniesiono zwłoki w skromnej trumnie do kaplicy zakładowej, tej kaplicy, w której przez lat tyle codziennie szukała i znajdywała pociechę, radość, siłę. Ka-

plica tonęła w powodzi świateł i kwiatów. Na trzeci dzień mszę św. przy zwłokach odprawił ks. dziekan Tobolak, proboszcz Zakopanego, przy udziale śpiewaków z „Echa Tatrzańskiego". Na nabożeństwie obecni byli: członkowie rodziny, delegacja krakowskiego Koła Kuźniczanek w osobach p. Koschowej, p. Rydlówny i p. Stryjeńskiej, przedstawiciele Związku Górali ze sztandarem i liczna delegacja góralska z kobietami i dziećmi. Po mszy św. ks. dziekan Tobolak przemówił bardzo pięknie i wzruszająco, podkreślając bohaterską ofiarność p. Zamoyskiej i jej całkowite oddanie się służbie Boga i bliźnich. Przemówienie swe zakończył słowami: „Dzieło tej ziemskiej trójcy: matki, syna i córki, nie zginie i zginąć nie może. Górale, pamiętajcie zawsze bronić cepculek". Wzruszenie było ogólne i głębokie. Księdzu dziekanowi załamał się z żalu głos. Wszyscy obecni mieli łzy w oczach.

Na życzenie górali ustawiono trumnę nie na karawanie, lecz na prostym wozie obitym kirem i jedliną. Czterech górali zajęło miejsce przy trumnie, podtrzymując ją przez całą drogę; piąty góral powoził czwórką koni. Na czele pochodu szły uczennice, za nimi Związek Górali ze sztandarem, po czym następowały delegacje z wieńcami: od uczennic, od grona nauczycielskiego, od Szkoły Hotelarskiej, od Górali, od Gremium Pensjonatów itd. Za delegacjami postępowali Bracia Albertyni i duchowieństwo z ks. dziekanem Tobolakiem na czele. Za trumną szła rodzina, współpracownice p. Zamoyskiej i tłumy publiczności. Rosły one w miarę, jak pochód postępował przez ulice Zakopanego. Kondukt, na życzenie Zarządu Miejskiego, przeszedł przez całe miasto. Na ulicach paliły się latarnie okryte kirem. Z gmachu Zarządu Miejskiego i Dyrekcji Lasów Państwowych zwisały czarne chorągwie. Pożegnanie p. Zamoyskiej z Kuźnicami opromienione było pięknym zimowym słońcem, ale już w połowie drogi wicher od Tatr przyniósł zadymkę śnieżną. Trumna, kondukt, uczestnicy wszystko pokryła niepokalana biel śniegu. Przypominały nam się wówczas słowa p. Zamoyskiej wypowiedziane przed laty: „Pragnęłabym, by w dniu mego pogrzebu świat cały był na biało". Wśród zawiei posuwał się orszak ku dworcowi kolejowemu przy dźwiękach dzwonów kościelnych. Na dworcu chór „Echa Tatrzańskiego" pożegnał zmarłą śpiewem. O 4-ej zwłoki opuściły Zakopane, żegnane przez p. Starostę z Nowego Targu, Głuta z żoną i grono współpracownic Zakładu. Cała żałobna uroczystość nosiła charakter spontanicznej manifestacji, płynącej z potrzeby uczczenia pamięci tych, którzy swą ofiar-

nością uratowali Zakopane od przejścia we wrogie ręce i zostawili narodowi nie tylko cenną spuściznę materialną w postaci „Fundacji Zakłady Kórnickie", ale stokroć jeszcze cenniejszą spuściznę moralną, przykład wytrwałej, ofiarnej i pełnej miłości służby dla Ojczyzny, służby, którą Zamoyscy, matka, syn i córka poczytywali sobie nie za zasługę i tytuł do nagrody, ale za przywilej i szczęście.

Kondukt pogrzebowy w Zakopanem.

W zamku Kórnickim wśród bogactwa kwiatów spoczęło na katafalku ciało ostatniej Dziedziczki Kórnika i współzałożycielki Fundacji. W przeddzień pogrzebu zwłoki uroczyście przeniesiono do wspaniale ozdobionego kościoła parafialnego. Nazajutrz o 10-ej rano uroczyste nabożeństwo odprawił miejscowy proboszcz ks. Mieczysław Matuszek, a mowę pogrzebową wygłosił ks. Janasiak, proboszcz z Bnina. Cała Polska żegnała Zmarłą. W ceremoniach pogrzebowych uczestniczył ks. Kardynał Prymas Hlond, delegacja z wieńcem od Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, przedstawiciele władz z p. Wojewodą Poznańskim i miejscowym Starostą na cze-

le, rodzina Zmarłej, współpracownice Zakładów w Kuźnicach, Kórniku i w Warszawie, Zarząd Fundacji, delegacje Kół Kuźniczanek z Warszawy, Poznania Krakowa i innych miejscowości, delegacje ze sztandarami szkół Generałowej Zamoyskiej i Klaudyny Potockiej z Poznania.

Zwłoki p. Zamoyskiej spoczęły na wieczny spoczynek w krypcie kościoła parafialnego w Kórniku, obok matki i brata.

Gorejące serce i czar głosu.

Maria Zamoyska jest jedną z tych postaci, o których trzeba wiele pisać, albowiem to, co uczyniła, przewyższa zwykłe ramy życia kobiety, sięga wielkich szczytów i należy do największych kart historii pracy i ofiarności dla Ojczyzny.

Jeżeli matka śp. Marii, Jenerałowa Zamoyska jest twórczynią Zakładu Kórnickiego, który tyle dobrego uczynił, szkoląc całe zastępy młodych Polek do służby Bogu i Ojczyźnie w pracy ręcznej, umysłowej, duchowej, to córka Jej Maria była prawdziwie „Sercem Gorejącym" całego Zakładu w Zakopanem.

Piękna, pełna dostojnego uroku, wybitnie wszechstronnie utalentowana ofiarowuje swe zdolności i swój wielki majątek dla służby Bożej i dla Polski. Dusza Jej na wskroś apostolska i misjonarska zdobywa do tej pracy setki współpracownic. Gdyby spisać dzieje wielu nawróceń dokonanych pod wpływem żywiołowego apostolstwa śp. Marii w Polsce i wśród emigracji we Francji, zaiste byłyby to karty z żywotów wielkich świętych wyjęte.

Śpiew Jej pieśni nabożnych wzruszał do głębi. Kto w kaplicy Zakładu w Kuźnicach słyszał jej przepiękny, dźwięczny głos, górujący nad chórem uczennic, ten nie zapomni nigdy wrażenia, jakiego doznał. Nieraz przybysz, zrazu wiedziony tylko ciekawością, zginał kolana, tą pieśnią modlitewną zbliżony ku Bogu. Słyszeliśmy: „Tantum Ergo", „Maria Mater", przepiękne „Agnus Dei", w którym głos Marii Zamoyskiej wyrażał modlitwę żałobną i błagalną, a głosy chóru przytłumione, jakby przyjazne i współczujące, popierają prośbę solistki. Ale przede wszystkim pamiętamy prześliczne „Wielbij Duszo moja Pana", najcudowniejszą modlitwę Matki Boskiej, śpiewaną przez Marię Zamoyską jako wyraz uwielbienia i dziękczynienia za chwile łaski, radości, cierpienia i bólu.

Lecz nie tylko pieśni nabożne stanowią Jej spuściznę artystyczną. Wierna pragnieniu, by wszystkim służyć, dorabia melodie do „Słonka" Asnyka, do wiersza Stroki, zaczynającego się od słów: „Są chwile w życiu stanowcze na lata..." i wielu innych jak: Szary wróbelek, Siedzi ptaszek na drzewie, Szukajmy na ziemi Królestwa Bożego. Najpiękniejsze są „Bory Litewskie" do słów Sienkiewicza. Widzieliśmy go rozrzewnionego i skupionego, gdy słuchał swoich „Borów" i powtarzał, że nie miał pojęcia, że one takie piękne. Stanisław Witkiewicz dorobił do nich okładkę przedstawiającą stare dęby litewskie. [1]

Panna Zamoyska miała również wielkie zdolności malarskie, których jednak nie wyzyskała w pełni z braku czasu. Malowała przeważnie portrety Matki, widoki parku Kórnickiego i kwiaty. To zamiłowanie pogłębiało Jej przyjaźń z Adamem Chmielowskim, słynnym „Bratem Albertem", artystą malarzem, założycielem zakonu Albertynów, mających swoją pustelnię-kościółek na Kalatówkach nad Kuźnicami.

Maria Zamoyska miała serce nadzwyczaj wrażliwe na cierpienia ludzkie. Nie mogła przejść obojętnie obok żadnej biedy, nie ogarniając jej swym prawdziwie bez miary i wagi dawanym współczuciem i pomocą. Nie pojmowano, dlaczego przyprowadzała do swego zamku wszystkie napotykane niedole i biedy, nie rozumiano „gorejącego serca", które wykreśliło ze swego życia samolubstwo i hołdowanie względom ludzkim.

Po śmierci Matki i brata odczuła w całej rozciągłości ofiarę z majątku i bogactw oddanych na cele narodowe. Żyła w zupełnym ubóstwie, bo nawet rentę zastrzeżoną w Fundacji, oddawała natychmiast potrzebującym.

Współpracownica Zakładu Józefa Chłapowska-Popielowa.

---

1) Dla przypomnienia przytaczam słowa:

«Wyszedł srogi ukaz do litewskich borów, * Aby nie śmiały szumieć, ni modlić się ni mruczeć inaczej, * Swych wieczornych nieszporów, jak na narodną naturę: «Boże Caria chrani». * Trwoga padła na puszczę, stoją ciche drzewa, * Jak wynurzony z wód wieczny las skamieniały, * Ani zwierz się nie ozwie, ni ptak nie zaśpiewa, * Dzięcioł się nawet boi pukać w pień spruchniały, * A sprawniki tak krzyczą potrząsając knuty. Wtem wstaje wiatr i leci od warszawskiej strony, * Padł na gonnych sosen wyniosłe korony: * Mruknęły dęby, dzwoni listkami brzezina».

W tym miejscu chór cichutko i coraz głośniej naśladuje szum wiatru i śpiewa:

«Pieśń się jakaś wśród puszczy poczyna I brzmi coraz potężniej między konarami Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny!»

Radosna Postać.

Chrystus powiedział Piotrowi: „Uczynię Was rybakami ludzi". Na takiego rybaka powołaną była i p. Zamoyska. Ta struna apostolstwa przez Boga w nią włożona, nie na Kuźnicach się ograniczała: drgała w niej dużo wcześniej i daleko szerzej. Żyje w Polsce i poza Polską wiele osób, które chociaż nie miały szczęścia przejść szkolenia w Zakładzie, o którym p. Jenerałowa mawiała, że zastępuje ono dziewczętom wojsko, ale miały szczęście być pod wpływem p. Marii Zamoyskiej. Te osoby czują to samo, co i uczennice Zakładu, że odeszła ich Matka. Dużo z nich należy do kół Kuźniczanek. Kuźniczanką jestem i pragnę wszystkim przypomnieć jedną właściwość charakteru p. Zamoyskiej. Gdy rozmyślam nad bogactwem jej duszy, to wydaje mi się, że jednym z głównych jej tonów była radość życia, radość Boża, radość — dar Ducha Świętego, zwana w Piśmie św. cnotą wesela. Wydaje mi się, że to jej Pan Bóg dał, jako narzędzie do łowienia dusz. A do czaru uśmiechu lubiła dodawać swój piękny śpiew.

Dlatego pewnie ponurym zdał się korytarz Zakładu w Kuźnicach i malunkami rozweselenia potrzebującym dopiero wtedy, gdy p. Zamoyska usunęła się od pracy. Póki ona w nim siebie dawała, nam pogodnym się zdawał.

Przyznam się, że i dzisiaj mimo bólu z powodu jej śmierci, trudno mi przybrać żałobny ton. Myśl moja szuka liturgii pogrzebów dziecięcych, liturgii nie żałobnej. Kto znał p. Zamoyską, wie dobrze, że od wczesnego dzieciństwa Bożą była i że mimo wszechstronnej wiedzy z iście dziecięcą ufnością Bożą zawsze pozostała.

Więc radujmy się z nią, że już wezwaną została: „do wesela Pana swego".

I radujmy się z nią, że może zdać dobry rachunek z rybactwa swego, że przynosi przed sąd Boży sieć napełnioną tysiącami dusz, które do Boga zbliżyła.

Czy pamiętacie, Kuźniczanki, jej uśmiech radosny, gdy chwaliła się czymś, co w Zakładzie zrobiono i co dobrze się udało? Tak się Wami teraz chwali!

Radujmy się wreszcie my wszystkie, jakże liczne, które darzyła swą przyjaźnią tak hojnie. Radujmy się, żeśmy Świętą miały za przyjaciółkę!

Stanisławowa Gawrońska.

Oto Ona. (Z notatnika).

Rok 1912.

I. Lato było tak dżdżyste, że wolno było pracować w polu w niedzielę. Toteż nie mogłyśmy się doczekać pogodnej środy, by odbyć którąkolwiek z wymarzonych wycieczek w góry. Czasem było słońce w czwartek lub w poniedziałek, ale na wycieczki przeznaczona środa zawsze była z deszczem. Rozpacz... ! Wreszcie trafił się wieczór wtorkowy tak wygwieżdżony, że gromadka nasza zebrana w bibliotece aż kipi z radości. Panna Zamoyska obiecuje wziąć udział w wycieczce, tym razem murowanej. Pójdzie z nami na Giewont, a jeśli siły dopiszą, może dojdziemy dalej. Trzeba jeszcze tylko poprosić o pozwolenie p. przełożonej, ale to już tylko formalność, skoro Hrabianka już wszystko zdecydowała i idzie z nami. Panna Hube właśnie przechodzi korytarzem, więc Hrabianka, otoczona panienkami, idzie spytać o aprobatę. Każda z nas pamięta te dwie sylwetki: wspaniałą, iście królewską postać p. Marii, jej wdzięczny głos, jej rozkazujące wzniesienie głowy i drobną postać p. Hube. Hrabianka „prosi o pozwolenie", którego jesteśmy pewne. Dzieje się rzecz nieprzewidziana bo przełożona odpowiada: „Żałuję bardzo, wycieczka jest niemożliwa. Jutro jest środa suchedniowa, więc nie mogę dać tak licznym uczennicom dostatecznie silnego a oszczędnego postnego pożywienia". Krąg panien się cofa, Hrabianka kłoni głowę.

II. Pracowałam tego dnia w lampiarni, czyszcząc serię małych lampek schodowych. Nie była to interesująca robota, chociaż lampy bynajmniej nie były zapuszczone. Jednak z braków odpowiednich płynów, może za drogich do masowego użytku, trzeba było dzielnie nadrabiać rękami. Jestem dość dokładna z natury tak, że oczyszczone części przeważnie błyszczały jak nowe. Weszła Hrabianka: „Tu jest jeszcze plamka". „Tarłam, ona nie chce zejść". „To proszę jeszcze trzeć, póki nie zejdzie". Potarłam znowu, plamka zeszła. Wiele razy w życiu „tarłam, póki nie zeszło" i myślałam o p. Zamoyskiej.

III. Zwiedzałyśmy w towarzystwie Hrabianki nowicjat albertynek. Były między nami dwie panienki, które prosto z klasztoru przyszły do Kuźnic. Namyślały się czy w nich nie zostać na zawsze. Nowicjat Sióstr zrobił na nas ogromne wrażenie: o takiej surowości życia nie miałyśmy pojęcia. Przed wyjściem z klasztoru poszłyśmy odwiedzić przełożoną, która, jak ogromny procent zakonnic, umie-

rała na gruźlicę. Była cicha, prosta, Boża... Przy niej tym bardziej uderzała świetność, bogactwo osobowości Hrabianki, która żegnała się z nią na zawsze, gdyż nikt nie ukrywał, że śmierć nastąpi lada dzień. „A gdy Matka będzie już w niebie, proszę nam wymodlić powołania, bo bardzo potrzebujemy nowych sił". — powiedziała p. Zamoyska. Czy prośba Hrabianki była skierowana tylko do Umierającej, czy raczej do żywych? Tak osądziłam od razu i powiedziałam to kandydatkom na pracownice.

IV. Panna Zamoyska przemawia. Nie spotkałam dotychczas lepiej mówiącej kobiety. Modulacja cudownego głosu, mimika, ruchy rąk wymownych... Pragnęło się być malarzem.. Nie pamiętam jednak szczegółów przemówienia, gdyż było to zbyt dawno. Została jednak w pamięci na zawsze postać przemawiającej.

Rok 1921.

V. Jako wieloletnia już mężatka odwiedziłam Kuźnice. „Proszę mi opowiedzieć o mężu i dzieciach". Opowiedziałam. „A ma pani jaką fotografię? Proszę mi ją dać. Będę się modlić za tego dobrego męża, gdy w mszale spotkam jego fotografię".

W roku dwudziestym którymś spotkałam p. Zamoyską u jednej z Kuźniczanek i byłam przez panią domu proszona o wyjście od niej razem z p. Zamoyską, żeby mieć pretekst do odwiezienia jej taksówką. P. Zamoyska bowiem nie miała wcale z sobą pieniędzy, a przyjechała do Warszawy w interesach za biletem wolnej jazdy.

VI. Jesienią był w Krakowie Kongres Wychowania Moralnego. Pewnego dnia, wychodząc z Kongresu trochę wcześniej, zastałam w pustym jeszcze przedsionku stojącą p. Zamoyską, dźwigającą jakiś nieprawdopodobny ceratowy wór — bo nie worek — z książkami. Ważył do sześciu kilogramów. P. Zamoyska mówi do mnie: „Ja tu czekam na jedną panią, z którą się umówiłam". W trakcie naszej rozmowy usłyszałam od niej następujące słowa: „Niech pani posłucha, ja to wszystkim powtarzam, może się komu przyda. Mam stosunki w Paryżu, więc, jeśli kto młody tam jedzie, niech się do mnie zgłosi, a ułatwię mu wstęp do zacnych rodzin francuskich, które są dla cudzoziemców zamknięte..." Zawsze ta sama potrzeba i gotowość niesienia pomocy i służenia bliźnim.

Pani „interesująca się śpiewem" jednak nie przyszła.

Jadwiga Zaborowska.

Drukarnia SS. Urszulanek S. J. K. w Lubocześnicy pod Pniewami.

BIBLIOTEKA KÓRNICKA
Cz. 2280/1938